

Wojciech Stanisławski: Wschodniemiecka naturalistka

Poruszająca, dotkliwa, świetnie napisana powieść, świadectwo kruchej kondycji ludzkiej i fatalnej kondycji społeczności zamieszkujących Meklemburgię; cóż lepszego być może dla czytelników zainteresowanych teologią polityczną?

Współczesność rzuca tyle wyzwań chrześcijańskiej wizji ładu świata, że przewrót naukowy dokonany przez Karola Darwina mało kogo już gorszy. Gdzieś na równinach Midwestu zdarzają się ponoć fundamentaliści oprotestowujący nauczanie o ewolucji, ale dziś większym wyzwaniem dla teologów są wątpliwości neurologów w kwestii istnienia wolnej woli, rojenia transhumanistów o fizycznej nieśmiertelności człowieka czy perspektywa narodzin samoświadomości w generatorach AI, prawdziwego „ducha w serwerze”. Biologia jako taka na pozór straciła swój groźny oścień, podobnie jak rewolucja kopernikańska: kto jeszcze przejmuje się, niczym kardynałowie z czasów Soboru Trydenckiego, wstrząsem, jakim dla wiary maluczkich miała być utrata uprzywilejowanego miejsca we Wszechświecie przez Ziemię?

A jednak dawne trucizny nie tracą na zjadliwości. O grozie, jaką zrodziła „wiekuista cisza nieskończonych przestrzeni” zaświadczyli autor „Ziemi Ulro”, C.S. Lewis w „Odrzuconym obrazie” i wielu innych, zaś kolejne ustalenia współczesnych już astrofizyków, rozszerzających

granice Wszechświata do blisko stu miliardów lat świetlnych, naprawdę niełatwo wyśpiewać w kantyczce. Podobnie jest z prawami rządzącymi naturą. Śmierć poszczególnych stworzeń, wizerunek pojedynczego drapieżnika w akcji czy pojedynku zazdrosnych samców można jakoś pogodzić z wizją Edenu, który został skażony przez upadek, i przedszkole wszechświata nadal może pulsować bezpiecznym ciepłem. Prawa doboru naturalnego, nieuchronna i nieprzerwana rywalizacja komórek, osobników, rodzin i gatunków, konieczność adaptacji organizmów do zastanych warunków, determinizm dziedziczenia i reakcji hormonalnych to jednak naprawdę twarda wiedza; czasem tak twarda jak wbity w oko okruch zwierciadła ze starej bajki.

Inge Lohmark jest biolożką niezwykle kompetentną i zarazem biolożką totalną. Nawet, jeśli prowadzone przez nią zajęcia są dość postne (zgodnie zresztą z nowymi wymogami kuratorium, zakazującymi nie tylko wiwisekcji żaby, lecz i wszelkich niemal eksperymentów z użyciem tkanek zwierzęcych), bynajmniej nie należy do nauczycieli odtwarzających z pamięci podręczniki i wymagających odklepania zadanego materiału. Potrafi *a vista* opowiedzieć o wymarłych gatunkach (wilku tasmańskim czy krowie morskiej Stellera) i o rzadkich chorobach autosomalnych. Patrząc na porzucone odłogiem pola dawnych spółdzielni rolniczych czy państwowych farm rozpoznaje rodzaje gleb i ślady po dołach polodowcowych, zna obyczaje żurawi, nie są dla niej tajemnicą cuchnące gorzej niż kwas masłowy owoce miłorzębu i wie, jak uratować nietoperza, który letnim przedświttem wleciał do jej sypialni.

Jej kompetencje mogą budzić podziw lub lęk: niczym wysokofunkcjonująca autystka (może nią jest?) wymienia nazwy właściwe i umiejscowienie taksonomiczne stworzeń widzianych bodaj

przez okno szkolnego autobusu, wskazuje na biologiczny fundament wszechrzeczy w krótkich równoważnikach zdań, raportach już to z laboratorium, już to z pola walki. „Nagły zanik melaniny”, skomentuje swoje wczesne osiwienie po śmierci ojca; widząc stado żurawi, przepowiada sobie trasę ich jesiennego przelotu i wylicza porastające pustoszejące chodniki miasteczka ruderalia, jakby dokonywała przeglądu oddziałów: rumianek bezpromieniowy, perz podchwytiliwy, tasznik serdeczny.

Równie precyzyjnym i chłodnym okiem patrzy na otaczający ją świat ludzki: w pierwszej kolejności, jak na urodzoną nauczycielkę przystało, na salę lekcyjną, relacjonując, co widzi, w trybie monologu wewnętrznego, jakby spisywała protokół z badań. „Zaczyna się trudny okres, wietrzenie klasy przesyconej wonią nastolatków, piżmo i uwolnione feromony, (...), łojotokowa cera, mętne spojrzenie, niepowstrzymany wzrost i wybujałość”. Tyle, że o „przesyceniu wonią” jakichś stworzeń mówi się zwykle nie w przypadku klasy w gimnazjum, lecz klatki w zoologu lub wzorcowej obory w *Landwirtschaftliche Produktionsgenossenschaft*. To w protokołach z farmy odnotowuje się zwykle z niechęcią obecność tych, co są „tylko zbędnym balastem, którzy obciąża resztę. Urodzeni repetenci i recydywiści. Pasożyty na zdrowym ciele”.

Nie inaczej zerka Inge na starzejący się pokój nauczycielski, na swój powiat, położony na nudnej meklemburskiej równinie gdzieś między Schwerinem a Neubrandenburgiem, i kostkowaty, złożony z prefabrykowanych elementów dom, za duży po wyjeździe dorosłej córki, za duży dla niej i obojętnego męża, za duży bez wnuków, na które się nie zanoszą. „Kreska skierowana w próżnię. Ślepy zaułek w rozwoju. Claudia ma już trzydzieści pięć lat”. No ale cóż; „Istnieją różne

strategie rozrodcze. Jedne gatunki obierają strategię K i inwestują dużo czasu i energii w niewielką liczbę potomstwa, inne – strategię r, czyli mniejsze inwestycje, ale w większą liczbę”. Wóz albo przewóz. „W królestwie zwierząt nikt do nikogo nie przychodzi na niedzielną kawkę. Nie należy się spodziewać wdzięczności, nie przysługuje też prawo do zwrotu”. To, trzeba przyznać, osobliwa przyjemność, śledzić ten chłód, ten kwas trawiący wszelkie ozdobniki: Schalansky jest naprawdę mistrzynią w naśladowaniu na dwustu stronach jednorodnego języka, lodowatej wizji świata. „Szyja żyrafy” przypomina pod tym względem dokonania rysowników, tworzących wierne wizerunki natury przy użyciu jednego tylko koloru (zwykle czerni grafitu), operujących jedynie natężeniem barwy, różną twardością ołówka i światłocieniem, i już za ten poziom tekstu należą się laury zarówno autorce, jak polskiemu tłumaczowi, Kamilowi Idzikowskiemu.

Inge Lohmark jest konsekwentna do końca: opis techniki inseminacji bydła, który funduje szesnastolatkom w ramach zaplanowanej dygresji na lekcji o dziedziczeniu, opis równie precyzyjny, jak ohydny, nieodparcie przywodzi na myśl replikę Magdy (Grażyny Szapołowskiej) z „Dekalogu VI”. Jest tylko to, *birth, and copulation, and death*. „Nie trzeba żadnych uczuć. Wszystko zachodzi automatycznie. (...) Wszystkie organizmy mają jeden podstawowy cel: spłodzić jak najwięcej potomstwa zdolnego do przeżycia”. Inge staje się w naszych oczach bohaterką w pełni beckettowską: dla jednych czytelników może to być po prostu świadectwo współczesnych czasów, dla innych – niesłychanie mocne ukazanie konsekwencji „ukąszenia darwinowskiego”.

Ta jednorodność języka, równie dobrze nadającego się do opisu mutacji muszki owocówki, co zerwanej relacji z córką, jest tak uderzająca, że wgniata w fotel. Dopiero z czasem zauważamy inne odcienie, inne rejestry mowy Inge: najpierw cierpki sarkazm („Takie są skutki nadmiaru uroczystości masowych. Przychodzi moment, kiedy tylko po kwiatach możesz poznać, czy to akurat 1 Maja, Urodziny Republiki czy Dzień Nauczyciela. Bzy, dalie czy piwonie”), potem kostyczny humor, cienką ironię, drwinę z papkowatej mowy reklam, wreszcie, wyjątkowo starannie zamaskowane – nitkowate, pojedyncze pędy czułości. Życie Inge okazuje się ostatecznie, w tej symfonii zimnych metali, rozpaczą i raną, a chłód zmrozić ma i otamować płacz, który mógłby rozlec się na myśl o zmarłych rodzicach, odległej córce, wystygłym małżeństwie, aborcji, zgasłych miłościach.

Tak, Inge mogłaby sięść w kuble obok Nell w „Końcówce”, mogłaby wygłaszać swój monolog „Nie ja”, gdyby zachowała się inna redakcja tej sztuki (rozpacz, stopiony ołów rwący przez chwilę lody). W tym sensie jest figurą literacką niemal pozaczasową, jeśli przypisaną, to jedynie do luźno zarysowanej epoki („powojnia”). Judith Schalansky jednak (sama urodzona w roku 1980 w Greifswaldzie) osadziła swoją bohaterkę w bardzo konkretnym miejscu i czasie: jesteśmy pod koniec pierwszej dekady XXI wieku, w kilkanaście lat po zjednoczeniu Niemiec, na przeoranej transformacją, zliftingowanej i ostatecznie porzuconej ziemi Meklemburgii.

W ostatnich miesiącach wiele mówi się o literackich i socjologicznych echach procesu „zjednoczenia/wchłonięcia” z początku lat 90., o jego przemilczanych kosztach, których konsekwencją, widoczną z każdym rokiem bardziej, jest słabość wspólnoty społecznej w landach

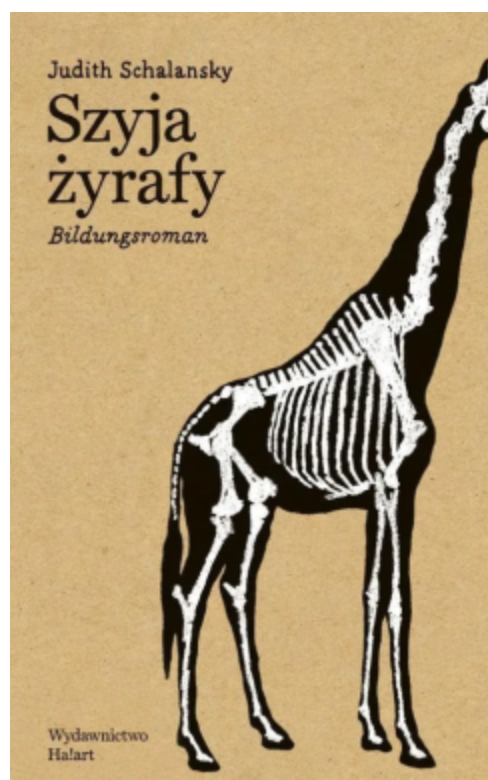
wschodnioniemieckich, nieskrywany, sięgający nieraz wrogości dystans wobec *Wessich* i triumfy antysystemowych AfD oraz BSW Sary Wagenknecht. Na ustach wszystkich znalazła się nagrodzona w ubiegłym roku międzynarodowym Bookerem powieść „Kairos” (2020) Jenny Erpenbeck, opisująca elity NRD-owskiego Berlina końca lat 80. „Szyja żyrafy”, wydana w Niemczech niemal dziesięć lat wcześniej, przełożona na angielski i przerobiona na sztukę teatralną, nie uzyskała jak dotąd takiej popularności. W moich oczach jest jednak jednym z najwymowniejszych, z jakimi się spotkałem, powieściowych świadectw nie tylko niepowodzeń transformacji, ale i głębiej – pełzającego fiaska procesu zjednoczenia, „odrzczenia przeszczepu”, obcości utrzymującej się między rozgoryczonymi miejscowymi a urzędowo optymistycznymi przybyszami, fałszu nowomowy, odklejającej się od rzeczywistości jak zetlały plakat.

Inge można uznać za wyrazicielkę bardzo specyficznej odmiany tożsamości lokalnej, czy nawet więcej: lokalnego patriotyzmu. Składa się nań, obok punktowania pozornych dobrodziejstw i rzeczywistych krzywd transformacji („mleko wylewano do rowów”; „krowy jej dzieciństwa, bydło czarno-białe niemieckie, niedługo znikną”) wątła, autoironiczna nostalgia za formami życia zbiorowego sprzed 1989: tak, wiemy, że były niesłuszne i drętwe, ale i tak nam do nich tęskno, mówią sąsiedzi Inge – bo były nasze. Składa się nań również ostra zadra antymodernizacyjna, odrzucenie „pakietu wartości demokratycznych” jako pustosłowia i tęgi, z trzewi płynący antyamerykanizm. Taka formuła tożsamości zbiorowej nie jest zresztą swoista dla Niemiec wschodnich – spotkałem się z podobną w Serbii, w Bułgarii i w Rosji.

W tej – dodajmy jeszcze jedną pochwałę – świetnie skonstruowanej i wydanej książce (ascetyczna okładka, dużo surowych reprodukcji z dawnych podręczników przyrodoznawstwa) katastrofa demograficzna Europy, smutek wschodnich Niemiec i wszystkie rozpaczę Ingi tworzą jeden akord. *Déserte*, słowo użyte ongiś jako autodeklaracja przez bohaterkę „Madame”, tu wybrzmiewa we wszystkich swoich znaczeniach. Tak, „Szyja żyrafy” to rzecz beckettowskiej rangi. A zarazem fakt, że opisane w niej „ukąszenie darwinowskie” tak dobrze przyjęło się akurat na Pomorzu Wschodnim, pociągając za sobą niekłamany zachwyty nad eugeniką, doborem naturalnym, biologią jako nauką, która „jest faktem i podlega zasadom o nieograniczonej ważności” oraz odrazę do „pasożytów na zdrowym ciele” – rodzi bardzo zawężony historycznie, bardzo konkretny niepokój.

Wojciech Stanisławski

Judith Schallansky, „Szyja żyrafy. Bildungsroman”, tłum. Kamil Idzikowski, Wydawnictwo Ha!Art, 2024



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
